

Wielkie odkrycie

Nasza droga do Kościoła katolickiego



Ulf i Birgitta
Ekman

Wielkie odkrycie

Nasza droga do Kościoła katolickiego

Przełożyła Agnieszka Stróżyk

WYDAWNICTWO WAM

DEN STORA UPPTÄCKTEN

vår väg till Katolska kyrkan

Copyright © Ulf och Birgitta Ekman 2015

Published by arrangement with Skrivarhyttan AB through Catholica AB

© Wydawnictwo WAM, 2017

Imprimatur

1 września 2015

+ Anders Arborelius OCD, biskup Sztokholmu

Przekład ze szwedzkiego: Agnieszka Stróżyk

Konsultacja i porównanie z wydaniem angielskim: Piotr Musiewicz

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka

Redakcja: Ilona Klimek

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki: Łukasz Szczepaniak

Zdjęcia na s. 4 okładki: archiwum prywatne, fot. Rickard Eriksson

Skład: Lucyna Sterczewska, Edycja

ISBN 978-83-277-1412-1

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: OPOLGRAF • Opole

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g wol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Chcielibyśmy zadedykować tę książkę
naszym czterem ukochanym synom.
Przez wszystkie te lata miłość w naszej
rodzinie była wielką radością
i punktem odniesienia w naszym życiu.
Rodzina to cudowny dar Boga dla człowieka
i stale i niezmiennie jesteśmy wdzięczni
za naszą!

WSTĘP DO POLSKIEGO WYDANIA

O pastorze Ulfie Ekmanie usłyszałem po raz pierwszy podczas moich wizyt w Szwecji, kiedy odwiedzałem pastorów Kościołów zaangażowanych w pomoc księdzu Franciszkowi Blachnickiemu i Oazie. Były to przełomowe lata – po raz pierwszy od czasów reformacji Kościoły te zdecydowały się przyjść z pomocą Kościołowi katolickiemu. Dowiedziałem się, że Słowo Życia jest bardzo dynamiczną wspólnotą reprezentującą w Szwecji wolne Kościoły charzmatyczne, a pastor Ulf jest radykalnym profetycznym głosem wzywającym do ewangelizacji i misji. Bardzo wielu młodych, pełnych energii ludzi z różnych Kościołów chciało być częścią tego, co on miał w swoich planach. Wyzwania ze strony Słowa Życia rodziły też zrozumiałe obawy w innych, dość „sennych” szwedzkich kościołach.

Wiele lat później, z uwagi na zainteresowanie Ulfa Ekmana Kościołem katolickim, miałem okazję spotkać go osobiście. Wcześniej Polska nie znajdowała się na widnokręgu jego pracy ewangelizacyjnej, jednak w 2009 roku się to zmieniło. Wraz z ks. Peterem Hockenem przyjechał on do Krakowa i do Lanckorony, do naszego domu Misji EnChristo. Razem nauczali na konferencji „Ekumenizm Ducha”, którą organizowaliśmy wspólnie z Instytutem Ekumenii i Dialogu Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

Cieszyliśmy się bardzo, że pastor Ulf, wraz ze swoją żoną Birgittą, przyjął nasze, katolików, zaproszenie.

Konferencja ta była przełomowa. W sytuacji wysycenia tradycyjnego dialogu ekumenicznego, szczególnie na płaszczyźnie doktrynalnej, zainspirowała wykorzystanie doświadczenia odnowy charyzmatycznej dla procesu odbudowywania jedności chrześcijan. Ulf Ekman dał nam się poznać jako orędownik tej właśnie drogi, którą sam nazywał ekumenizmem serca. Stwarza ona szczególną możliwość odbudowy jedności poprzez szersze zaangażowanie środowisk zielonoświątkowych i charyzmatycznych.

Bardzo poruszające były słowa Ulfa, kiedy dawał świadectwo swojej drogi duchowej ku spotkaniu z Kościołem katolickim. Zdałem sobie wtedy sprawę, że pomimo geograficznej bliskości dzielą nas jakby nieprzekraczalne przestrzenie w mentalności, w duchowym zrozumieniu rzeczywistości, w uprzedzeniach i pielęgnowanych wyobrażeniach. Zrozumiałem, jak wielkiego heroizmu potrzeba, aby się do siebie przedostać. Nic też dziwnego, że Ulf wszedł na drogę przekraczania tego, co wydaje się nieprzekraczalne, aż w Izraelu.

Już sama pasja jego poszukiwań i bezkompromisowość wzbudziła naszą przychylność dla Ulfa. Nieczęsto zdarza się na uniwersyteckich konferencjach, żeby słuchacze mieli łzy w oczach. Nasza otwartość i gotowość wysłuchania pastora do końca prowadziły do kolejnych przełomów we wzajemnym myśleniu o sobie i w woli skupienia się na prowadzeniu Ducha w uwielbieniu i poszukiwaniu prawdy.

Ewangeliczne przesłanie, koncentrujące się na tym, co Duch mówi do Kościołów, wybrzmiewało harmonijnie zarówno z ust ks. Petera Hockena, jak i pastora Ulfa Ekmana. Goszcząc Ulfa, nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z tego, jak radykalne, wymagające niezwyklej odwagi myśli krążyły po jego głowie.

W 2013 roku gościliśmy Birgittę i Ulfa w Krakowie po raz drugi, na Forum Nowej Ewangelizacji: Całą Ewangelię, Całe Ciało, Całemu światu. Forum miało charakter ekumeniczny, charyzmatyczny i ewangelizacyjny; współtworzyły go osoby, które wniosły znaczący wkład w ewangelizację współczesnej Europy. Zauważyłem, że zmierzanie Ulfa i Birgitty ku nowym odkryciom przestało już mieć charakter intelektualnej przygody, a stało się duchowym pielgrzymowaniem, któremu towarzyszyły coraz większe zmagania. Zauważyłem pokorę, uniżenie i niezwykłą duchową wrażliwość na wszystko, czego doświadczali.

Szczególnym czasem było wspólne przeżywanie Eucharystii. Modlitwę Ulfa o wzrost powołań kapłańskich w Kościele katolickim zapamiętali chyba wszyscy. Pastor Ulf z radością i bez żadnych oznak zmęczenia głosił na temat darów duchowych, a całym sobą był pochłonięty przeżywaniem ewangelizującego, charyzmatycznego Kościoła młodych. Dopiero z późniejszych rozmów i z kart tej książki dowiedziałem się, ku jakim ostatecznym przełomom prowadziła go ta konferencja.

„Nasze drogi w Panu” to ostatni weekend, jaki mieliśmy do tej pory w Lanckoronie z Ulfem i Birgittą. Było to

w listopadzie 2016 roku, już po ich przejściu do Kościoła katolickiego. Chcieliśmy z ich ust usłyszeć świadectwo Bożego prowadzenia, abyśmy sami mogli sobie uświadomić, co to oznacza dla nas, dla naszego bycia wspólnotą w Chrystusie (*Koinonia En Christo*). Jeszcze raz uświadomiliśmy sobie wagę tej decyzji, jej radykalizm i gotowość uznania za nic całego swojego ogromnego dziedzictwa, z uwagi na podążanie za odkrywaną prawdą.

Nie można przejść obojętnie nad odwagą i ciągłą pasją budowania od nowa ze względu na nowe odkrycia. Nie sposób nie dostrzegać, jak wielką cenę Birgitta i Ulf musieli zapłacić w świecie najbliższych duchowych relacji. Doświadczyli na samych sobie, poprzez rany i cierpienie, jaki jeszcze dzieli nas dystans na drogach odbudowywania jedności, jak skutecznie pogłębiają go nieuleczone rany z przeszłości i te, które dokładamy współcześnie. Jak głęboka jest to zasłona, odkrył sam Ulf, który wraz ze swoim Kościołem przez pewien czas nie był w stanie rozpoznać jak wielkim „gigantem duchowym” (mówił Ulf) był Jan Paweł II i aktywnie włączył się w jego krytykę. Natomiast podczas przyjęcia do Kościoła katolickiego przybrał właśnie jego imię.

Nie jest to droga, którą można by przejść inaczej niż w Duchu i w cieniu krzyża. Błogosławiona jest w tym wszystkim pomoc, jaką Ulf i Birgitta otrzymali od napełnionych Duchem świętym katolików, sług jedności. Towarzyszyli im oni w przełomowych chwilach, na drogach

ich duchowych zmagania, aby mógł im się objawić Kościół, *który Ciebie niesie*.

W kontekście tych zmagania widać, jak niesłuchanie istotna jest rola Soboru Watykańskiego II, usiłującego osadzić naszą tożsamość w Bogu, w Jezusie Chrystusie. Tożsamość ta niesiona jest w mocy Ducha, ponad tożsamością budowaną na podziałach, uprzedzeniach i kontrowersjach, którą sami próbujemy sobie nadać. Ta ostatnia, jak widać w tym kontekście, dotyczy zarówno katolików, jak i protestantów.

Śledząc historię Ulfa, uświadamiam sobie, że dochodzi w niej do spotkania dwóch perspektyw niezwykle istotnych dla refleksji nad Kościołem.

Pierwszą prezentują charyzmatyczne wolne Kościoły. Element instytucjonalny gra w nich minimalną rolę i, jak się wydaje, posiadają one niczym nieskrępowaną wolność. Polega ona na ujawnianiu wobec świata i Kościołów historycznych, jak może wyglądać życie w wymiarze wspólnotowym odnowione w Duchu, jak może wyglądać misja Kościoła i kształtowanie uczniów. Wolność w „eksperymentowaniu” ujawniła wiele zapoznanych aspektów życia chrześcijańskiego – jak chociażby w uwielbieniu – doprowadziła niemal do eksplozji charyzmatów. Niespotykana jest gorliwość i oddanie członków wielu takich Kościołów, ze Słowem Życia włącznie. To co charyzmatyczne, czyni Kościół nieprzewidywalnym, pielęgnującym bezpośrednio udzielania się uwielbionego Pana, a świadectwa ukazują namacalny wpływ obecności Boga na serca ludzkie.

Drugą perspektywę prezentuje Kościół katolicki, w którym fundamentalną rolę gra element instytucjonalny, zasadniczy dla życia i misji Kościoła. Wyraża się on w słowie i sakramencie wraz z podstawowymi strukturami ministerialnymi episkopatu, zgromadzonego wokół następcy św. Piotra. Struktury Kościoła mają charakter historyczny. Jest to stały dar Pana dla Kościoła przekazywany z pokolenia na pokolenie. Potrafimy organizować życie Kościoła w oparciu o słowo i sakrament poprzez urząd kościelny, ale nie mamy zwyczaju podporządkowywania naszych dróg władzy i suwerenności Pana, który prowadzi swój lud i mówi do niego dzięki darom charyzmatycznym.

W 1998 roku Jan Paweł II stwierdził, że „Aspekty instytucjonalny i charyzmatyczny to jakby dwa równie istotne elementy konstytutywne Kościoła, które razem – choć na różne sposoby – kształtują jego życie, przyczyniając się do jego odnowy i do uświęcenia Ludu Bożego. Właśnie to opatrnościowe odkrycie charyzmatycznego wymiaru Kościoła dało początek – przed i po Soborze – niezwykle mu rozwojowi ruchów kościelnych i nowych wspólnot”. Odkrycie na nowo charyzmatycznego wymiaru w Kościele nie może być więc postrzegane jako mało znacząca poprawka. Obok Słowa i sakramentu pojawia się charyzmat. To, co jest stałym darem Pana, jest pobudzane powiewem Ducha dającym życie i ukierunkowującym drogę Kościoła.

Kościół jest w drodze, w której poszukuje odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób dawać praktyczną władzę Duchowi Świętemu nad jego życiem? Natomiast pytanie Ulfa od samego początku poszukiwań brzmiało raczej: jak

wypracowanym elementom życia wolnego, charyzmatycznego Kościoła zapewnić historyczne ugruntowanie poza historycznymi strukturami. Jak sprawić, aby praca tych Kościołów mogła zrodzić pełniejsze, długotrwałe owoce, aby podtrzymywał ją szerszy kontekst.

Ulf znajduje odpowiedź w Kościele katolickim. Odkrywa, że tylko wtedy, gdy to, co charyzmatyczne jest w odpowiedniej relacji do instytucjonalnego, może w pełni zrealizować swoje cele. Tylko wtedy to, co charyzmatyczne może być historycznie ugruntowane i przekazane następnym pokoleniom. Mam przekonanie, że w jego głębokiej świadomości przejście do Kościoła katolickiego nie jest zdradą i przejściem do „wrogiego obozu”, ale pozyskaniem zbawiennego szerszego kontekstu, bez którego misja nie mogłaby dalej być tak skuteczna. Nie stoi to w sprzeczności z pragnieniem bycia przykładnym, szczęśliwym katolikiem.

Jego droga wyraźnie przypomina doświadczenie kardynała Newmana – ewangelicznego chrześcijanina o zapartywaniach antykatolickich, który – dojrzewając do decyzji o przejściu do Kościoła katolickiego – porzucił kapłaństwo w Kościele anglikańskim i został świeckim, zgadzając się przejść przez wiele zmagania. Pytanie Newmana brzmiało: który Kościół stoi najbliżej Kościoła pierwotnego? Który pozostaje z nim w związku, podąża za nim i w najbardziej wierny sposób rozwinął jego naukę i istotę? Newman, podobnie jak Ulf Ekman, odkrył, że jest to Kościół katolicki. Decyzja Newmana wzbudziła w ówczesnej Anglii niezwykle kontrowersje, za co przyszło mu zapłacić

wysoką cenę – podobnie jak Ulfowi w Szwecji i nie tylko tam. Newman stracił swój ruch, sławę i przyjaciół. Jakże wiele wyrosło jednak z tej straty! Newman poświęcił się studiom teologicznym, swojej posłudze kapłańskiej i na starość został mianowany kardynałem. Jego wpływ na Kościół, na przykład w obszarze podmiotowości świeckich, okazał się bardzo duży i po ponad stu latach od jego konwersji nazywany jest najważniejszym teologiem Soboru Watykańskiego II.

Jaki natomiast będzie wpływ Ulfa Ekmana w Kościele katolickim? Czy nienazywane przez niego, ale jakże wyraźnie wnoszone dziedzictwo „elementu charyzmatycznego” trafi na podatny grunt? Ostatecznie przecież, patrząc na decyzję Ulfa i Birgitty, wypada zadać sobie pytanie, jakie wezwania stawia ona przed naszym Kościołem. Przychodzi na myśl fragment z soborowego Dekretu o posłudze i życiu kapłanów: „Badając duchy, czy pochodzą od Boga, niech [kapłani] w duchu wiary odkrywają różnorodne charyzmaty świeckich, zarówno małe, jak i wielkie, niech je z radością uznają, z troskliwością popierają”. Włączenie charyzmatów w całościowy obraz życia Kościoła będzie wymagało właśnie tego dziedzictwa, które niesie ze sobą Ulf. Jak dalece jest ono oczekiwane i pożądane, wskazują liczne zaproszenia od środowisk katolickiej odnowy, którym z trudem może podołać. Winniśmy wdzięczność Bogu, że otacza nas takimi świadkami wiary.

Andrzej Sionek

WSTĘP

Drogi czytelniku!

W tej książce opowiadamy o naszej kilkuletniej wędrówce, przybliżaniu się do Kościoła katolickiego i wreszcie pełnym zjednoczeniu z nim. Opowiadamy, każdy ze swojej perspektywy, o osobistych doświadczeniach i wydarzeniach, w których razem na tej drodze uczestniczyliśmy.

Wspólne pisanie tej książki było ogromną przyjemnością. Dotyka ona jednej z najważniejszych decyzji, jaką podjęliśmy na naszej chrześcijańskiej drodze: decyzji o przejściu na katolicyzm. Od zawsze pracowaliśmy razem, również pisząc, i bardzo to lubimy. Dobrze jest z kimś porozmawiać, wspólnie posprawdzać fakty, wygładzić chropowate sformułowania i, co równie ważne, wymienić się uwagami, by usunąć z tekstu to, co zbędne.

Okres, który opisujemy, był intensywny i bogaty w najróżniejsze wydarzenia. Skoncentrowaliśmy się jednak na tym, co w pierwszej kolejności wiąże się z naszą drogą do wiary katolickiej. Książka nie jest więc pełnym opisem wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu tych tak ważnych dla nas lat.

Rozdziały nieco bardziej skoncentrowane na teologii nie mają ambicji w sposób wyczerpujący prezentować teologicznych stanowisk. Opisujemy pokrótce zagadnienia, które uznaliśmy za ciekawe i które były dla nas

wyzwaniem, a ostatecznie przesądziły o naszej decyzji. Nie dajemy przy tym apologetycznego wywodu, w pełni uzasadniającego nasze stanowisko.

Mamy nadzieję, że zarówno katolicy, jak i protestanci będą mogli coś wynieść z lektury tej książki. Protestantów chcemy prosić, by jak my byli otwarci i ciekawi tego, co sami katolicy mówią o swojej wierze i swoim Kościele. Ufamy też, że dla katolickich czytelników poznanie drogi, która zaprowadziła protestanckiego pastora i jego żonę do Kościoła katolickiego, okaże się interesujące.

Naszym największym życzeniem jest jednak, by ta książka przyniosła każdemu czytelnikowi radość i pokrzepienie, by na swój sposób zaowocowała większą miłością do Jezusa Chrystusa, pozwoliła ją dostrzec i na nowo odkryć Jego Kościół.

Serdeczne podziękowania kierujemy do wydawnictwa Catholica i Sary Fredstad za możliwość opublikowania naszej historii i za cenne uwagi, które pomogły nam w pracy nad tą książką.

Uppsala
Ulf i Birgitta Ekman

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ULF: Katolickie migawki

Jestem w biurze Sali Berisha, przyszedłszy prezydenta. Jest kwiecień 1992 roku i po raz drugi w ostatnim czasie odwiedzam Albanię.

Podczas mojej pierwszej wizyty, we wrześniu 1991 roku, dane mi było wziąć udział w niezwykłym wydarzeniu. Byłem pastorem ponadwyznaniowego Kościoła Słowo Życia (Livets Ord) w Szwecji, który otrzymał od komunistycznych władz pozwolenie na zorganizowanie „wymiany kulturowej”. Miała się ona odbyć podczas dużego otwartego spotkania chrześcijan na Stadionie Narodowym w Tiranie. W spotkaniu tym wzięła udział znana szwedzka piosenkarka Carola Häggkvist i wieloosobowy chór Słowa Życia. Ja sam miałem wyjątkową możliwość głoszenia Dobrej Nowiny bez mała dwudziestu tysiącom zebranych. Całe wydarzenie było transmitowane na żywo przez telewizję państwową. W ściśle kontrolowanej Albanii takie rzeczy działy się po raz pierwszy. Krajem wciąż rządzili komuniści, nawet jeśli ich władza chyliła się ku upadkowi.

Tamto spotkanie było dla mnie silnym i oszałamiającym przeżyciem. Poruszyło także tysiące ludzi w całej Albanii. Ludzi, którzy po raz pierwszy na własne uszy w publicznym miejscu usłyszeli o Jezusie Chrystusie. Wielu z nich

otworzyło Mu swoje serca i postanowiło za Nim pójść. Przez wiele lat docierały do mnie świadectwa o rzeczach, które wydarzyły się tamtego wieczoru na stadionie i przed telewizorami w całym kraju.

A więc wróciliśmy do Albanii. Wraz ze mną w biurze przyszłego prezydenta był jego bardzo serdeczny sekretarz, starszy już człowiek. Podszedł do mnie i radośnie oświadczył łamaną angielszczyzną: *I'am also a Catholic* (Też jestem katolikiem). Nie ulegało wątpliwości, że cieszył się ze spotkania brata w wierze. Zaskoczyły mnie nie tylko jego słowa, ale i radość, którą promieniował.

Dla sekretarza wolność wyznania już stała się faktem. Przeżył tyranię długich lat brutalnego reżimu. Wielu innych nie doczekało wolności. Pomordowano ich lub poumierało w więzieniach uciskani przez komunistyczne władze. Bezдушny reżim spenalizował nawet wymawianie imienia Jezus i szczyił się tym, że jako pierwszy proklamował całkowicie ateistyczny charakter państwa.

Ale w mojej reakcji na serdeczne pozdrowienie tego starego katolika nie to było ważne. W jednej sekundzie przemknęły mi przed oczami spore fragmenty historii Kościoła. Pomyślałem, że przecież jestem protestantem, nie katolikiem. Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Luteranizm, metodyzm, baptyzm, ruch zielonoświątkowy, ruch charyzmatyczny, Ruch Wiary – wszystkie te najróżniejsze warianty chrześcijaństwa przemknęły mi przez głowę i wreszcie na samym końcu niewielkiej gałęzi, gdzieś wysoko na ogromnym drzewie, zobaczyłem siebie. Siedziałem tam kołysany wiatrem i zajęty jakąś

wewnętrzną dysputą dotyczącą różnych sposobów korzystania z daru języków. Doprawdy osobliwe uczucie.

Dotarło do mnie, że nie zdołam tego wszystkiego wytłumaczyć stojącemu przede mną mężczyźnie. Jak miałem mu wyjaśnić, że w istocie nie jestem katolikiem, lecz członkiem czegoś, co się nazywa Słowo Życia? Oczami wyobraźni zobaczyłem nagle obraz podzielonego Kościoła, w całym konkretnie tego faktu, i w ciągu krótkiej chwili zrozumiałem, że nie umniejszając naszej jakże owocnej pracy misjonarskiej, sam zajmuję w chrześcijaństwie miejsce daleko na jego obrzeżach. I że sam przyczyniam się do tego podziału. Uśmiechnąłem się więc nieco skonfundowany, spojrzałem w oczy mężczyźnie i odpowiedziałem: *Oh, that's wonderful, brother!* (O, to cudownie, bracie!). Nie mogłem powiedzieć nic innego.

Wtedy właśnie – tak, dokładnie wtedy – coś zaczęło mnie nękać, a potem już nie chciało się ode mnie odczepić i to coś miało związek z Kościołem katolickim. Jestem przekonany, że właśnie tamto tak nieoczekiwane doświadczenie było pierwszym, które najpierw mną wstrząsnęło i mnie przebudziło, a następnie poprowadziło, krok po kroku, do pełnej wspólnoty z Kościołem katolickim. Choć zanim do tego doszło, miały upłynąć kolejne dwadzieścia dwa lata. Innymi słowy, powoli rodziła się we mnie świadomość. Nie była to kwestia jednego, nagłego wydarzenia.



Jakie więc było moje wcześniejsze doświadczenie Kościoła katolickiego, mój kontakt z nim przed tamtym wydarzeniem? Kiedy patrzę wstecz, Kościół katolicki jawi mi się jako wielki nieobecny. Dorastałem w zsekularyzowanym środowisku robotniczym Göteborga, nie mając właściwie kontaktu z katolikami. A nawet z chrześcijanami. Wiara katolicka nie była też przedmiotem moich rozmyślań.

Pamiętam jakieś zdjęcia z podręcznika do historii, a na nich Lourdes – cel pielgrzymek. Sobór Watykański II i kilku papieży, o których mówiono w telewizji, i papieża Jana XXIII, który ten sobór otwierał, też pamiętam, choć jakby przez mgłę. A także sceptyczne uwagi zasłyszane na kilku lekcjach wiedzy o religiach. Dotyczyły one głównie katolickiego spojrzenia na seksualność i rzeczy dla zsekularyzowanych Szwedów niepojętych, jak chociażby fakt, że w nowoczesnym świecie żyją ludzie, którzy nie pojmują dobrodziejstwa antykoncepcji. W 1968 roku papież Paweł VI wypowiedział się przeciwko środkom antykoncepcyjnym, a ataki na niego rozeszły się lotem błyskawicy po zachodnich mediach. W moim mocno na lewo zorientowanym świecie, w Göteborgu, na wyspie Hisingen, prawie nikt nie chciał ani zwyczajnie nie potrafił zrozumieć stanowiska papieża.

Pamiętam bardzo dobrze pewną spontaniczną wizytę w katolickim kościele Chrystusa Króla w Göteborgu pod koniec lat sześćdziesiątych. Było pochmurne popołudnie, a ja z kolegą najwyraźniej nie mieliśmy nic lepszego do

roboty. Po cichu weszliśmy do środka, a tam zatrzymała nas pewna sympatyczna pani, która życzliwie i szczegółowo zaczęła nam opowiadać o wszystkim, co znajdowało się w prezbiterium. Po chwili mieliśmy dość, więc skierowaliśmy kroki do wyjścia i zniknęliśmy. W jakimś tygodniku mojej cioci przeczytałem artykuł krytykujący pewnego młodego Szweda, który został mnichem gdzieś w Europie. Byłem skonsternowany. Nie dało się przecież zrozumieć takiego dziwactwa. Jak można zrezygnować z tylu fascynujących rzeczy i co tu dużo mówić, dać się pogrzebać żywcem w jakimś klasztorze? No i to zdaje się wszystko, jeśli chodzi o moje bardzo wybiórcze kontakty z Kościołem katolickim w okresie młodości. Kościół ten był mi bardzo daleki, znajdował się poza zasięgiem mojego wzroku, istniał poza horyzontem mojego świata, był nieznany, obcy i trochę budził strach. Nie różniłem się pod tym względem od większości zsekularyzowanej młodzieży lat sześćdziesiątych. Mało wiedzieliśmy o Kościele, nie interesowaliśmy się nim, mieliśmy uprzedzenia. Taką postawę wykazywałem wtedy wobec większości spraw mających związek z wiarą chrześcijańską. Chrześcijaństwo było dla mnie czymś staroświeckim, konserwatywnym, zabobonnym.

Ale pod koniec maja 1970 roku Jezus wkroczył do mojego życia. Jeden z moich przyjaciół niespodziewanie został katolikiem, co mnie naprawdę zaskoczyło. Ta zmiana w jego życiu mocno na mnie wpłynęła. Często go unikałem, denerwował mnie. Pewnego dnia, kiedy byłem w jego

mieszkań, zapytał, czy może się za mnie pomodlić. Kiedy zaczął, poczułem się bardzo nieswojo i wybiegłem. Jadąc do domu kolejką, usłyszałem głos, który powtarzał w kółko: „Twoje grzechy mogą być odpuszczone”. Rosło we mnie głębokie przekonanie, że tak właśnie jest. Zrozumiałem, że tylko Jezus może mi pomóc. Kiedy dotarłem do domu, wszedłem do mojego pokoju, uklęknąłem i poprosiłem Jezusa, by odpuścił mi grzechy i został moim Panem i Zbawcą. Od tego dnia do dziś nazywam się chrześcijaninem. Praktykującym chrześcijaninem.

Miałem wtedy dziewiętnaście lat. To był cudowny i intensywny czas, tamtego lata moje życie zostało wywrócone do góry nogami. Odkryłem i poznałem Jezusa osobiście. Wraz z nawróceniem moje życie zaczęło się na nowo. Chciałem pójść za Chrystusem. Wszystko się dla mnie fundamentalnie zmieniło. Bycie chrześcijaninem było czymś tak skrajnie innym, a zarazem jakby powrotem do domu. Dotykało głębi mojego jestestwa. Miłość Boga stała się w moim życiu tak namacalna i konkretna, że nie dało się przed nią bronić. To, co dawne, naprawdę minęło i rozpoczęło się coś zupełnie nowego.

W konsekwencji musiałem dokonać rozrachunku z tym wszystkim, do czego jako nastolatek uciekałem, oraz z duchem końca lat sześćdziesiątych, lewicowo-hipisowską falą, której częścią przez kilka lat byłem. Miałem poczucie, że różne rozproszone elementy mojego życia, moje zainteresowania i zdolności wreszcie się zespoliły i połączyły w całość. Życie w jednej chwili zyskało prawdziwy sens, kontekst, miało wartość i funkcję. Zostałem scalony,

stałem się człowiekiem, wróciłem do domu i odkryłem dziecięctwo Boże przez Chrystusa, w Chrystusie i z Chrystusem i było to dla mnie wstrząsające doświadczenie Bożej łaski. Doświadczenie, które mnie przemieniło, a potem niosło przez wszystkie lata. Wypełniały mnie radość i poczucie bezpieczeństwa w Bogu, te uczucia były dominujące. Odtąd towarzyszą mojemu życiu.

Wiara, którą wtedy odkryłem, oddziaływała bardzo szeroko. Chrześcijanie różnych proveniencji spotykali się, by wspólnie się modlić, czytać Biblię i ewangelizować. Znakiem większości stanowiły serdeczne i zaangażowane osoby wywodzące się z różnych wolnych Kościołów i tworzące wspólnotę ponad podziałami na denominacje, w której obecne były zarówno elementy zaczerpnięte z luterńskiego Kościoła narodowego, jak i z nowych ruchów przebudzenia charyzmatycznego, które wtedy rozlewały się po świecie. Dla mnie była to nowa i fascynująca rzeczywistość, choć przecież jeszcze kilka miesięcy wcześniej nawet nie przeczuwałem jej istnienia. Ten nieznaný świat otworzył się przede mną, gdy ja otworzyłem się na Jezusa Chrystusa.

Wiodłem chrześcijańskie życie w trakcie moich studiów w Uppsali. Był początek lat siedemdziesiątych, a więc okres, gdy wielu młodych chrześcijan nie przywiązywało większej wagi do tego, z jakiej denominacji się wywodzi. Najważniejsza była miłość do Jezusa. Oczywiście nie wszystkie chrześcijańskie środowiska podzielały ten pogląd, ja jednak wszedłem właśnie w takie serdeczne duchowe otoczenie i jestem za to niezmiernie wdzięczny. W wolnym czasie byłem całkowicie pochłonięty

ewangelizacją studentów i zgłębianiem Biblii w ramach wywodzącej się ze Stanów Zjednoczonych i skupiającej chrześcijan z różnych Kościołów ewangelicznej organizacji studenckiej o nazwie The Navigators (Nawigatorzy). To dało mojemu chrześcijańskiemu życiu zarówno pewne umocowanie, jak i kierunek, dyscyplinę i korzenie. Biblia stała się dla mnie żywą i absolutnie fascynującą księgą, którą czytałem i którą wciąż czytam, codziennie.

Po ukończeniu studiów licencjackich rozpocząłem studia teologiczne. Wtedy na poważnie zaczęła we mnie kiełkować myśl, by zostać pastorem w ewangelicko-luterańskim Kościele Szwecji. Nie w pełni to zauważałem, ale stopniowo coraz bliższy stawał mi się także Kościół katolicki. Z grupą kilku studentów teologii odwiedziłem katolicką parafię św. Wawrzyńca w Uppsali. Było to doświadczenie interesujące, a jednak dość mi wtedy obce. W gruncie rzeczy nawet w Kościele Szwecji nie czułem się przecież jakoś szczególnie mocno zakotwiczony. Byłem zeświecczony, mimo chrztu i konfirmacji. Nawet jeśli pewne elementy liturgii do mnie przemawiały, w całości odbierałem ją raczej jako coś nazbyt sztywnego i formalnego. Najzwyczajniej w świecie nie byłem przyzwyczajony do liturgii w kościele. Przy moim ewangelizującym, otwartym na innych, typowym dla wolnych Kościołów akcentowaniu chrześcijańskiego życia wychodziłem z założenia – trochę zarozumiałe – że liturgia to głównie niepotrzebny sztafaż.

Po kilku latach, za namową grupy przyjaciół, trafiłem do wspólnoty akademickiej przy kościele św. Oskara

w Uppsali, zakorzenionej w bardziej konserwatywnej tradycji luteranizmu wysokokościelnego¹. Tam zacząłem coraz bardziej rozumieć, doceniać i zagłębiać się w liturgię i jej bogate treści. Jednak nie wyciągnąłem z tego żadnych konkretnych wniosków, tak jak kilkoro z moich przyjaciół, którzy z czasem zdecydowali się na przejście na katolicyzm. Byłem nazbyt naznaczony ewangelikalizmem i zbyt charyzmatyczny, by dopuścić do siebie tego rodzaju impulsy. Moim największym pragnieniem było ewangelizować i mówić studentom o Jezusie, wyjaśniać Ewangelię, bronić jej, spotykać się z ludźmi i wspólnie z nimi się modlić. W tym się odnajdywałem.

Nie przeszkadzało mi to jednak w regularnych odwiedzinach chrześcijańskiej, wysokokościelnej wspólnoty Koinonia, gdzie systematycznie odprawiano Mszę luterzańską. Członkowie tej wspólnoty byli bardzo otwarci na Kościół katolicki. Z tej grupy wyłoniły się z czasem osoby, które założyły klasztor w Östanbäck, nieopodal miasta Sala, by tam jako mnisi luterkańscy prowadzić życie według reguły benedyktyńskiej. Dużym szacunkiem darzyłem Caesariusa Cavallina, jednego z moich nauczycieli. Został on opatem klasztoru, jednak nigdy nie odwiedziłem tego miejsca. Zewsząd docierały do mnie najróżniejsze katolickie impulsy, ale nie umiałem ich ani zrozumieć, ani na nie odpowiedzieć.

W czasie studiów teologicznych miałem niekiedy styczność z katolickim nauczaniem najwyższej próby. Dużo wyniosłem z lektury *Wprowadzenia w chrześcijaństwo* kard. Josepha Ratzingera. Jednocześnie przeczytałem

cztery tomy pamiętników Gunnell Vallquist² z Soboru Watykańskiego II (1962–1965). To była zajmująca literatura, choć dała mi raczej pewne duchowe rozeznanie i poszerzyła moją wiedzę, niż stała się jakimś konkretnym drogowskazem. A jednak wiedza o tak przełomowym zgromadzeniu zasiała w moim wnętrzu ziarno. Ziarno, które kiedyś miało zacząć rodzić owoce.

Jeden z moich kolegów ze studiów wymyślił, że powinniśmy udać się z biurem podróży na wycieczkę do Rzymu, na Wielkanoc 1976 roku. No i pojechaliśmy. Przez tydzień włóczyliśmy się po mieście. Nie było nas stać na wycieczki fakultatywne, za które trzeba było dodatkowo płacić, i dlatego zazwyczaj sami organizowaliśmy sobie czas. Zapewne sporo nas przez to ominęło, ale i tak podróż okazała się bardzo pouczająca. Punktem kulminacyjnym stała się Wigilia Paschalna, kiedy to udało nam się dostać do bazyliki św. Piotra. Przecierałem oczy ze zdumienia na widok entuzjazmu, z jakim zareagował tłum, gdy do wnętrza kościoła wniesiono siedzącego na wysokim tronie papieża Pawła VI. Zakonnice dosłownie eksplodowały z radości, a cały kościół wiwatował. Do tej pory wiedziałem jedynie, że to właśnie ten papież w roku 1968 wypowiedział się krytycznie o antykoncepcji i że go za to znienawidzono. Jakże odmiennym doświadczeniem było zobaczyć go wtedy z bliska, a zamiast agresywnych lewicowych napaści poczuć miłość, jaką obdarzał go lud. Wyglądał na zmęczonego. Był chory i niedługo potem umarł, ale wtedy jeszcze siedział spokojnie i przyjaźnie machał do tłumów. Ten widok zrobił na mnie ogromne wrażenie. Niestety wkrótce

musieliśmy opuścić bazylikę, żeby wrócić na czas do hotelu. Wychodziliśmy przy majestatycznym biciu dzwonów na placu św. Piotra. Szkoda było opuszczać zgromadzenie w takim właśnie momencie.

W tym samym roku ożeniłem się. Już od kilku lat modliłem się o żonę. Po sześciu latach samotnego życia – studiowałem wtedy na Uniwersytecie w Uppsali – byłem na to naprawdę gotowy. Pewnego dnia, niedługo po moim powrocie z Rzymu, znajomy pastor poprosił, abym dołączył do prowadzonych przez niego rekolekcji. Podczas rozważania fragmentu Biblii o Duchu Świętym pojawiło się kilka nowych osób. Jedna z nich natychmiast przyciągnęła moją uwagę. Była to Birgitta. Po rekolekcjach poszliśmy na spacer. Szybko okazało się, że podzielamy te same zainteresowania i wartości. Birgitta była piękna, życzliwa, inteligentna i kochała Pana. Zakochałem się w niej do szaleństwa. Pobraliśmy się jeszcze w tym samym roku, w grudniu. Byłem bardzo szczęśliwy.

Stopniowo w moim religijnym życiu zaczęły brać górę strona niskokościelna i charyzmatyczna. Zrozumiałem, że chcę zostać pastorem w szwedzkim Kościele luterańskim. Modliliśmy się z Birgittą w tej sprawie. Poczuliśmy, że było to zaproszenie od Boga. Z entuzjazmem zacząłem więc przygotowywać się do życia pastora. Pragnąłem nauczać i głosić Słowo Boże oraz ewangelizować w zsekularyzowanym społeczeństwie. Zostałem wyświęcony przez biskupa Bertila Gärtnera w diecezji göteborskiej w styczniu 1979 roku i dostałem w Uppsali posługę duszpasterza akademickiego przy Szwedzkim Ewangelickim Ruchu

Studentów i Licealistów (SESG), działającym w ramach Kościoła luteranckiego. Tam od czasu do czasu miałem styczność z duszpasterzem katolickim, „kolegą po fachu”. Był bardzo sympatycznym człowiekiem, żyliśmy jednak w dwóch różnych światach i nie doszło między nami do żadnej wymiany myśli. W końcu i ja podzielałem tak powszechne wśród luteranów i protestanckich ruchów charyzmatycznych poglądy i przesady na temat katolicyzmu. Wówczas ominęły mnie w dużej mierze bardziej międzywyznaniowe, ekumeniczne dyskusje teologiczne.

W czasie studiów, oprócz obowiązkowych podręczników teologii, osobom z mojego kręgu dostępne były też lektury duchowe autorstwa zielonoświątkowych charyzmatyków. Czytanie ich wpływało ożywczo i budująco na osobisty rozwój duchowy, nawet jeśli niektórzy nazywali te publikacje domorosłą teologią. Stanowiły one odskocznik od bardziej sterylnej akademickiej teologii wykładanej na Uniwersytecie w Uppsali. Koncentrowały się w pierwszej kolejności na działaniu Ducha Świętego w życiu wierzących. Jednocześnie te często dość niesamowite opisy doświadczeń i przygód misjonarzy nierzadko przemyślały też sporą dozę negatywnego nastawienia do katolików. Wiele z tych historii dotyczyło ludzi, którzy wywodząc się z nominalnego, mocniej sformalizowanego, nierzadko katolickiego środowiska, przeszli drogę do bardziej żywej i osobistej wiary. Autorzy tych tekstów często uznawali za oczywiste, że katolicy muszą się nawrócić, więc raczej nie zaliczali ich do grona prawdziwych chrześcijan. Kościół katolicki uznawano za kolosa na zesztywniających

nogach, w podeszłym wieku i niedzisiejszego, wrogiego przebudzeniu i nieprzychylnego indywidualnemu chrześcijańskiemu życiu, to jest za Kościół zgola martwy albo wprost za Wielką Nierządnicę z Apokalipsy. Różne opinie wyrażano w tych tekstach, ale cechą wspólną czytanej przeze mnie literatury wolnych Kościołów był silny sceptycyzm do katolicyzmu i wyraźne dystansowanie się od wszystkiego, co z nim związane.

Taki dystans wysysało się z teologicznym mlekiem matki nie tylko w pewnych kręgach wolnych Kościołów, lecz może jeszcze bardziej w luteranśkim środowisku Kościoła niskiego i fundamentalistycznego. Wszystko to stopniowo sprawiało, że mój ogląd Kościoła katolickiego stawał się coraz bardziej negatywny. Nie było mowy o sprawdzaniu faktów i weryfikowaniu różnych twierdzeń, porównaniu z tym, co o swojej wierze i swoim duchowym życiu mówią sami katolicy, albo zapoznawaniu się z katolickimi lekturami duchowymi. Jednak w Bibliotece Chrześcijańskiej w Uppsali, wśród mnóstwa książek napisanych przez protestanckich charyzmatyków, były też lektury karmelitańskie o Janie od Krzyża i Teresie z Ávili. Miałem gabinet właśnie w budynku biblioteki i pamiętam, jak zaciekawiły mnie te książki. Czułem wewnętrzne przynaglenie, by je przeczytać, choć koniec końców nigdy po nie nie sięgnąłem. Jednak wrażenie, które na mnie zrobiły, pozostało, niczym delikatna wewnętrzna zachęta, by jednak się z nimi zapoznać.

Tylko że wtedy coraz bardziej ciągnęło mnie w stronę charyzmatycznego zielonoświątkowego chrześcijaństwa

ożywczo skoncentrowanego na działaniu i darach Ducha Świętego w życiu każdego chrześcijanina. Była we mnie prawdziwa tęsknota za tym, by zobaczyć siłę Ewangelii i jej zstępowanie w codzienność poszczególnych ludzi. Jednocześnie sceptycznie podchodziłem do wiary, z jednej strony nazbyt podatnej na liberalne wpływy, naukowo oschłej i przeintelektualizowanej, z drugiej zbyt upolitycznionej i odchylonej na lewo, nastawionej na sprawy świata, w której to, co horyzontalne, zdawało się całkowicie eliminować to, co wertykalne.

Uważałem, że oba te kierunki relatywizują i zniekształcają wiarę, że niejako rozmontowują klasyczne dogmaty i nauczanie, a Pismo traktują subiektywnie i dowolnie. Dla mnie kluczowe wciąż było osobiste życie chrześcijanina i jego miłość do Jezusa, naśladowanie Go, wierność Pismu, klasyczne dogmaty oraz otwartość na życie charyzmatyczne. W tym właśnie się narodziłem, kiedy zostałem praktykującym chrześcijaninem, i w to potem wrosłem, to pokochałem. Nie zamierzałem się w tych kwestiach targować. Od Lutra zaczerpnąłem wiedzę o adiaforach. Dowiedziałem się, że są „rzeczy niekonieczne do zbawienia” i w aż nazbyt ewangelikalny sposób przyjąłem, że w historii Kościoła wiele było nadbudowy, zbędnych teologicznie rupieci, które zakrywają prostotę i siłę Ewangelii.

Im bardziej wchodziłem w życie charyzmatyczne, które, co trzeba powiedzieć, naprawdę miało wiele zalet, tym krytyczniej patrzyłem na Kościół luterński. To, co wtedy uznawałem za „fasadę wiary” w jej wszystkich, jakże

różnych zewnętrznych formach, stanowiło, moim zdaniem, główną przeszkodę dla jej wzrostu i działania Ducha w życiu człowieka. Nie miałem pojęcia, jak bardzo przyjdzie mi się z tymi kwestiami zmagać w przyszłości. I nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele w tych moich „prawdach” było przesądów.

Czas, który spędziłem jako duszpasterz akademicki w Uppsali, był bardzo owocny. Jednocześnie pociągała mnie praca misyjna i coraz intensywniej pragnąłem zostać misjonarzem. Birgitta podzielała te pragnienia. Urodziła się i dorastała w Indiach. Jej rodzice byli tam misjonarzami metodystami, więc pracę misjonarską wyssała z mlekiem matki. Oboje byliśmy całkowicie nastawieni na życie w służbie Pana. Jednak kilka lat później otworzyła się przede mną możliwość odbycia rocznych studiów w charyzmatycznej szkole biblijnej Rhema w Oklahomie w Stanach Zjednoczonych. Zakończyłem służbę w duszpasterstwie w Uppsali i wyjechaliśmy do Tulsy. Byliśmy wtedy małą rodziną i dla naszych chłopców spędzenie roku w USA było niezłą przygodą. Ten rok naznaczył nas na wiele sposobów. Obserwowałem pragmatyzm, z jakim Amerykanie z pasją i oddaniem poszukiwali sposobów szerzenia Ewangelii, i powstawanie nowych wspólnot, które niewątpliwie szybko się rozrastały.

Było to dla mnie czymś nowym. Już wcześniej nosiłem w sobie pragnienie, by nauczać i wyposażać świeckich, zwykłych wierzących, w Słowo Boże. Mówić im o osobistym doświadczeniu wiary, o życiu w Duchu Świętym. Chciałem mobilizować wierzących do ewangelizowania

i misji. Rok spędzony w USA bardzo mnie zainspirował. To był cudowny czas. Zdaje się jednak, że przez cały ten okres nie spotkałem ani jednego katolika.

Studia w USA nie zmieniły mojego krytycznego nastawienia do Kościołów historycznych, a nawet je wzmocniły. Teologicznie liberalne podejście do Biblii i dogmatów, które obserwowałem w luterkańskim Kościele Szwecji, w moim mniemaniu tylko przysparzało mi argumentów. Choć moja krytyka była pod pewnymi względami mocno przesadzona i generalizująca. A przede wszystkim oparta na słabych z punktu widzenia eklezjologii przesłankach. Przesłanki te podzielałem z bez mała wszystkimi nurtami niskokościelnymi i wolnymi Kościołami. Było w nich sporo niewiedzy i lekceważenia tego, co Bóg zdziałał przez wieki istnienia Kościoła, a także dość naiwne przekonania, że my – wracając do tradycji pierwszych gmin i chrześcijaństwa Dziejów Apostolskich – najzwyczajniej w świecie możemy pominąć dwa tysiące lat historii Kościoła, a tym samym powrócić do źródła i autentyczności i w nie się wszczepić. Trochę jakbyśmy szukali korzeni, ignorując drzewo, które z nich wyrosło. W naszym wyobrażeniu to drzewo niejako oddzieliło się od korzeni.

Takie postrzeganie Kościoła zasadzało się na fakcie, że ze starych, odrętwiałych Kościołów wciąż wylaniały się nowe ruchy. Było to według nas zjawisko naturalne, sterowane przez Ducha Świętego. Można je było przyrównać do potoków, które by osiągnąć swój cel, też wciąż muszą żłobić sobie nowe drogi. Historyczny Kościół widzieliśmy głównie jako przeszkodę dla życia duchowego.

Właśnie na polu tego słabego i błędnego eklezjologicznie założenia musiałem z czasem porządnie zrewidować swoje poglądy. Póki co nie zastanawiałem się jeszcze nad tym, że Jezus nie jest w pełni Jezusem bez Kościoła, swojego widzialnego ciała. Byłem w sposób indywidualistyczny tak skoncentrowany na osobistym chrześcijańskim doświadczeniu i jednostkowej służbie Bogu, że Kościół nie oznaczał dla mnie nic ponad wspólnotę, do której się należy. Ta zaś pozostawała w dość luźnym związku z innymi autonomicznymi wspólnotami. Centrum stanowiła osobista relacja do Jezusa. Wspólnota, Kościół, zajmowały miejsce drugo- i trzeciorzędne.

Wróciłem z USA w roku 1982 z mocnym postanowieniem założenia szkoły biblijnej dla chrześcijan z różnych denominacji. Natomiast początkowo nie byłem raczej zwolennikiem zakładania nowych Kościołów. I mnie, i Birgitcie wydawało się to zbyt amerykańskie. Skłamałbym, gdybym powiedział, że decyzja o założeniu w Uppsali Kościoła Słowo Życia wypływała z jakichś głębszych eklezjologicznych przekonań. Niemniej podjąłem się tego. Założyłem Kościół Słowo Życia w Uppsali w maju 1983 roku.

W tamtym czasie nie było w Szwecji zbyt wielu nowych niezależnych Kościołów, więc powołanie Słowa Życia wywołało zamieszanie w mediach i oczywiście tarcia w Kościele Szwedzkim. Arcybiskup wezwał mnie do biura i postawił mi ultimatum: albo pozostanę luterańskim pastorem, albo będę kontynuował pracę w Słowie Życia i stracę święcenia.

Sama rozmowa przebiegała w spokojnej, uprzejmej atmosferze, a ja rozumiałem jego stanowisko. Wiedziałem już wtedy, co chcę robić. Wybrałem Słowo Życia i szkołę biblijną, rezygnując tym samym z bycia pastorem luteraniskim. Pozostałem jednak członkiem Kościoła Szwecji. Rozstrzygnęła raczej potrzeba chwili. Zorientowaliśmy się, że osobom uczęszczającym do naszej szkoły biblijnej potrzeba życia wspólnotowego na co dzień i Kościoła, do którego mogliby przychodzić w niedzielę. Narastająca krytyka, również ze strony mediów, skierowana w założoną przez nas szkołę biblijną, tylko utwierdziła nas w przekonaniu, że ludzie potrzebują bezpiecznego miejsca, w którym mogliby praktykować swoje chrześcijaństwo.

Rzuciłem się w wir zadań i doświadczałem ogromnej satysfakcji mimo pojawiających się czasem sporych zewnętrznych trudności. Szkoła i wspólnota szybko się rozrastały. Obserwowaliśmy duży głód Słowa Bożego. Do szkoły biblijnej ciągnęła i młodzież, i osoby starsze z różnych Kościołów. Posyłałymi zespoły na ewangelizacje zarówno w Szwecji, jak i w Azji. Z biegiem lat w różnych zespołach było ponad sześć tysięcy ewangelizatorów.

W 1989 roku, po upadku żelaznej kurtyny, nastał dla nas wspaniały czas. To był okres intensywnej pracy misjonarskiej i zakładania kolejnych Kościołów, głównie w Rosji i jej dawnych państwach satelickich. Pracowaliśmy ściśle według modelu charyzmatycznych zielonoświątkowców. W tych różnych krajach powstały setki wspólnot, a wśród nich były i takie, które doczekały się kilku tysięcy

członków. W wielu miejscach założyliśmy szkoły biblijne i z czasem mieliśmy ponad pięćdziesiąt tysięcy uczniów, którzy uczęszczali do któreś z naszych szkół przez przynajmniej rok. Widok tysięcy ludzi odwracających się od życia w ateistycznej pustce, by pokochać Jezusa i pójść za Nim, dawał nam głęboką satysfakcję. Jeździłem tam i z powrotem między Szwecją a Rosją. To były niesłychanie intensywne lata.

Inspirujące było także tworzenie lokalnej wspólnoty w Uppsali i pomaganie ludziom w pogłębianiu wiary. Chcieliśmy im pokazać, jak w wolności służyć Panu, odnaleźć swoje miejsce, aktywnie i z otwartością nieść Ewangelię oraz służyć bliźnim.

Kościół Słowo Życia rósł i stopniowo podejmowaliśmy się wielu różnych zadań. Poza ewangelizacją i pracą misyjną rozrastała się też nasza działalność edukacyjna i medialna. Z biegiem lat doszła do tego szersza opieka duszpasterska. Zaczęliśmy również prowadzić kursy z teologii. Zbudowaliśmy bardzo duży kościół, którego oficjalne otwarcie miało miejsce latem 1987 roku. Wszystkie te przedsięwzięcia pochłaniały dużo siły i energii, ale to był fascynujący okres. Niekiedy brakowało nam pomysłów, skąd wziąć na to wszystko pieniądze, ale nieustannie doświadczaliśmy Bożej pomocy i powoli, krok po kroku, dzięki Jego łasce, stawialiśmy czoło wszystkim wyzwaniom. Byłem wówczas tak skoncentrowany na pracy, że nie starczało mi czasu, by zobaczyć, co się dzieje poza horyzontem własnej wspólnoty. Choć istniały wyjątki.

Jednym z nich była pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Szwecji w czerwcu 1989 roku, w samym środku tak intensywnego dla nas czasu. Było to, rzecz jasna, wielkie kościelne wydarzenie, pierwsza papieska wizyta w Szwecji i krajach nordyckich. W Danii i Norwegii przyjęto papieża chłodniej. Doszło tam nawet do protestów protestanckich biskupów, którzy sprzeciwiali się temu wydarzeniu. Kościół Szwecji serdecznie powitał biskupa Rzymu. Jednak część wolnych Kościołów zajęła sceptyczne stanowisko, my zaś wręcz negatywne. Jak wspomniałem, ja sam, ale również niektórzy z nauczycieli naszej szkoły biblijnej, ulegliśmy wpływowi antykatolickiej literatury, głównie z kręgów amerykańskiego fundamentalizmu chrześcijańskiego. Autorzy czytanych przez nas książek jednak często otwarcie dystansowali się od charyzmatycznego życia, które sami reprezentowaliśmy, więc to, że słuchaliśmy ich w kwestii Kościoła katolickiego, było osobliwą niekonsekwencją. W następstwie tego nasza obrona prawdy Ewangelii przybrała formę publicznego odżegnywania się od katolicyzmu. Napisałem dwa krytyczne artykuły, a w jednym z nich bardzo ostro odniosłem się do wizyty papieża w Uppsali.

Tuż przed jego przyjazdem zorganizowaliśmy ze wspólnotą spotkanie modlitewne przy kopcach Starej Uppsali (Gamla Uppsala). Prosiliśmy, by Bóg wziął nas w opiekę na czas papieskiej wizyty. „Sprzeciwialiśmy się” ponownej katolizacji Szwecji i modliliśmy, by w naszym kraju nie głoszone niczego poza czystym i nieskalanym Słowem Bożym, by zachowana została wiara ewangelikalna.

Dziś jest mi oczywiście niezmiernie przykro, gdy o tym myślę. Nawet jeśli mieliśmy wówczas szczerze zamiary, nasze postępowanie musiało być niezmiernie gorszące dla katolików, którzy się o nim dowiedzieli. Kiedy spoglądam wstecz na ten epizod i inne sytuacje, w których głośno artykułowałem swój negatywny stosunek do Kościoła katolickiego, szczerze tego żałuję. Na szczęście tego rodzaju zachowania nie weszły mi w krew i stopniowo zaczęły schodzić na dalszy plan, były bowiem naprawdę istotniejsze sprawy. Mimo wszystko zależało nam przecież na pozytywnej atmosferze wokół naszego nauczania.

To, co wtedy zrobiliśmy, było wyrazem strachu przed katolicyzmem, który mimo wszystko wciąż istnieje w niektórych kręgach wolnych Kościołów i wśród charyzmatycznych zielonoświątkowców. Regularnie się z tym spotykam, a dziś sam czasami jestem na to narażony. Krytyczne nastawienie do Kościoła katolickiego żywiłem przez kilka lat, choć muszę przyznać, że nie było ono podstawowym, napędzającym czy dominującym czynnikiem mojego chrześcijańskiego życia. Wtedy jednak wciąż jeszcze stanowiło element składowy mojego rozumienia wiary i przyjmowałem uprzedzenia szerzące się w środowisku, do którego należałem.

W pewnej książce, którą znalazłem wiele lat później, przeczytałem homilię papieża wygłoszoną w Gamla Uppsala i dotknęło mnie, jak bardzo była ona przeniknięta „czystym i nieskalanym Słowem Bożym”, pasterską miłością i troską. Papież zakończył bardzo mocno, mówiąc:

„Obietnica dotyczy was i waszych dzieci. Pan okazał się wierny w swoich obietnicach. I wy musicie być wierni. Podążajcie razem w wierze, nadziei i miłości, żyjąc w Duchu naszego Pana Jezusa Chrystusa. Amen”. Nasz niepokój był doprawdy bezpodstawny.